

Pani od przyrody

Roman Pawłowski

2010-08-02

wysokie obcasy



Na rozlewiskach Biebrzy można zobaczyć rzadkie gatunki ptaków i roślin, które gdzie indziej wyginęły. Katarzyna jako pierwsza wprowadziła nad Biebrzę model turystyki przyrodniczej

Mówią do niej: 'Ty nie nasza'. Jest podwójnie wyobcowana - jako przybysz z zewnątrz i jako samotna kobieta - o Katarzynie Ramotowska, która od prawie 20 lat prowadzi turystów w najbardziej niedostępne miejsca Biebrzańskiego Parku Narodowego pisze Roman Pawłowski

Rezerwat Czerwone Bagno koło Rajgrodu, jedno z najbardziej dzikich i odludnych miejsc w Polsce. Dostać się tu można groblą, która kończy się w dawnej osadzie Grzędy spalonej podczas II wojny światowej i nigdy nieodbudowanej. Dalej, aż do rzeki Biebrzy, kilometrami ciągną się torfowiska, przez większą część roku niedostępne. Tu, na niedostępnych terenach odgradzonych od cywilizacji wodą, zachowała się w stanie niemal nienaruszonym pierwotna przyroda. Blisko 300 gatunków ptaków, tysiąc gatunków roślin, wiele z 'Czerwonej listy gatunków zagrożonych', łosie, jelenie i wilki. Żeby przetrwać w tym skrajnie nieprzyjaznym dla człowieka środowisku, trzeba wyjątkowej siły i odporności. W XIX w. carskie władze tu właśnie osiedlały karnie banitów. Intruza, który się zapuści na mokradła, atakują roje komarów i gzów, które tną do krwi. Grząski grunt zapada się pod stopami, chwila nieuwagi i można wylądować z twarzą w czarnej, cuchnącej mazi.

Ale Kaśka Ramotowska, przewodniczka z pobliskiego Goniądza, czuje się na Czerwonym Bagnie jak w domu. Kiedy prowadzi nas wąską ścieżką wśród mokradeł, wydaje się, że zna tu każdy kąt i każdego lokatora. Nie przeszliśmy nawet stu metrów, a już znalazła tropy borsuka, łosia, lisa, jelenia i dzika. - Popatrzcie, tu przeszły wilki - mówi, odpędzając szczególnie natarczywego gza. Na piasku widać ślady odcisniętych łap i pazurów. Jesteśmy na granicy rewirów dwóch wilczych watah. Przychodzą tu co kilka dni zaznaczyć swoje terytorium.

Niespokojnie rozglądamy się dookoła.

- Teraz zaszyły się głęboko w lesie. Nic nam nie grozi - uspokaja Kaśka.

Na chwilę odzyskujemy pewność siebie. Ale miny nam rzedną, kiedy kilka kroków dalej natykamy się na bielejące w trawie kości. - To młody łośzak zagryziony w zeszłym roku przez wilki - mówi przewodniczka, podnosząc kości czubkiem buta. - Byłam tu chwilę po wszystkim. Nie miał szans.

Teraz już naprawdę chcemy do domu.

Rambo z warkoczami

Trudno uwierzyć, że ta szczupła dziewczyna z warkoczami od blisko 20 lat prowadzi turystów w najbardziej niedostępne miejsca Biebrzańskiego Parku Narodowego. Bywają dni, kiedy pokonuje 25 km z plecakiem wyładowanym sprzętem, wodą i żywnością. Wiosną prowadzi ludzi na rozlewiska Biebrzy. Oglądają tysiące ptaków podczas przelotu, pola kaczeńców, słuchają koncertów żab moczarowych. Jesienią, kiedy przyroda łapie drugi oddech, wraca na bagna. Zaczyna się bukowisko i rykowisko, czyli okres godowy łośi i jeleni. Zimą znów ma pełne ręce roboty - gody mają wilki, wydry, norki i bobry. Organizuje łośiowe safari - razem z turystami podchodzi do żerujących łośi. Najmniej do roboty ma latem, kiedy nic interesującego w przyrodzie się nie dzieje. - Latem zapadam w sen zimowy - mówi.

Pochodzi z Sokółki, miasteczka we wschodniej części Podlasia. Przyrodą interesowała się od zawsze, po maturze zdała na biologię środowiskową w białostockiej filii Uniwersytetu Warszawskiego. - Rodzicom mój wybór trudno było zaakceptować. Mama powtarzała: 'Matko Boska, córka, a co ty będziesz robić po tej biologii!' - opowiada Ramotowska. Niepokój rodziców jest zrozumiały. Dziewczyna znika na całe dni w lesie, tropi dzikie zwierzęta, do domu znosi przyrodnicze eksponaty.

- Kiedyś wypreparowałam bobra, który zginął pod kołami samochodu. Gdy wygotowałam czaszkę, w domu strasznie śmierdziało.

Biebrzę odkryła na początku lat 90., uniwersytet miał tu stację terenową. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Krzysztof Kawenczyński, antykwariusz z Warszawy, który na początku lat 90. wyemigrował nad Biebrzę, wspomina, jak któregoś dnia spotkał na leśnej drodze dziewczynę z wypchanym plecakiem. - Spędzała na bagnach każdą wolną chwilę, chciała napisać pracę doktorską z turzyc (roślinności porastającej mokradła). Była twarda, tylko tacy mogą poradzić sobie na Biebrzy.

Doktoratu w końcu nie napisała. Karierę naukową poświęciła dla edukacji przyrodniczej. Została przewodniczką po Biebrzańskim Parku Narodowym, jedną z pierwszych kobiet w tym zdominowanym przez mężczyzn zawodzie. Znała biegle angielski, zajęła się więc grupami z zachodniej Europy. Pierwsza prowadziła na bagna zachwyconych Holendrów, Belgów i Brytyjczyków.

- Faceci byli zaskoczeni, kiedy dowiadawali się, kto ich poprowadzi. Czekali na muskularnego Rambo z nożem w zębach, tymczasem wychodziła mała dziewczynka z warkoczami - opowiada Ramotowska. Dopiero w terenie okazywało się, co ta mała dziewczynka potrafi. - Mam ulubiony szlak bagienny, wiem, jak się po nim poruszać, jak manewrować między kępami, żeby się nie zapaść. Łatwiej mi, bo jestem lekka. Oni już po dziesięciu minutach zaczynali ciężko dyszeć, biły na nich siódme poty. Myślałam wtedy: 'Dobra, jesteście moi!'.

A kto tu przyjedzie w te komary?

Po studiach postanowiła osiąść nad Biebrzą; rodzice załamali ręce.

- Pokazałam im parę miejsc, w których chciałabym zamieszkać. Byli przerażeni: 'A gdzie ty, biedna, samotna

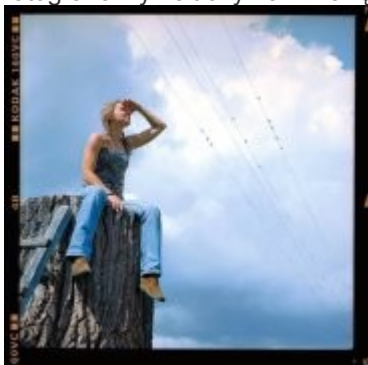
dziewczyna, w rozwalającej się chałupinie!'. W końcu nie kupiła wymarzonej chaty z bali, ale z planów osiedlenia się nad Biebrzą nie zrezygnowała. Zamieszkała w Goniądzu, miasteczku w sercu Parku. W bloku, choć nienawidzi blokowisk. - W Goniądzu tylko nocuję, żyję na Biebrzy - podkreśla. Życia miejskiego nie znosi. W ubiegłym roku przyjaciele z ambasady szwajcarskiej zaprosili ją na pożegnalne party. Zapakowała prezenty, wsiadła w samochód, jednak w miarę jak zbliżała się do Warszawy, zdejmowała nogę z gazu. W końcu zawróciła. - W mieście choruję. Tylko tutaj znajduję harmonię. W początkach lat 90., kiedy przyjechała nad Biebrzę, bagienne szlaki świeciły pustkami. Przyjeżdżali tylko wtajemniczeni: przyrodnicy, fotograficy i ptasiarze, głównie z zachodniej Europy. Szukali rzadkich gatunków ptaków i roślin, które gdzie indziej wyginęły. Dzisiaj w czasie wiosennych przelotów ludzie depczą sobie po piętach. Duża w tym zasługa Kaśki, która pierwsza wypromowała nad Biebrzą model turystyki przyrodniczej. Zajęło jej to kilkanaście lat.

- Kiedy prowadziłam pierwsze grupy, w okolicy nie było żadnych kwater ani restauracji. To było błędne koło: turystyka nie mogła się rozwijać, bo nie było gdzie jeść i nocować, a nie było gdzie jeść i nocować, bo nie było turystów. Pukała do drzwi okolicznych mieszkańców, błagała, żeby choć parę łóżek przygotowali. Odpowiadali: 'A kto tu przyjedzie w te komary?'. Nikt nie wierzył dziewczynie świeżo po studiach. Była bliska rezygnacji, kiedy nagle coś się ruszyło. Pod koniec lat 90. pensjonaty i kwatery agroturystyczne zaczęły powstawać jak grzyby pod deszczu. Teraz w regionie Biebrzy jest ich ponad 240.

- Ludzie musieli dojrzeć - kwituje Ramotowska.

Czytać przyrodę

W 1999 roku, po siedmiu latach pracy jako samodzielna przewodniczka, założyła własną firmę. W nazwie umieściła swoje najważniejsze pasje: Biebrza Eco-Travel. Współpracują z nią przewodnicy, właściciele pensjonatów i kwater, wytwórcy pamiątek, firmy cateringowe - w sumie setki firm z całego regionu. Trudno ją złapać w biurze, dni spędza w terenie. Jej samochód wypchany jest po dach sprzętem biwakowym. - To moja torebka - śmieje się. Wozi zawsze: karimatę, namiot, buty gumowe, lornetkę, lunetę, sandały, aparat fotograficzny i ciuchy na zmianę. Czego nie zabiera? Pudru, szminki i perfum.



— Od perfum wolę zapach dziegciu - wyznaje.

W sezonie dzień zaczyna o drugiej w nocy, kończy grubo po zmierzchu. Jest najbardziej rozchwytywanym przewodnikiem na biebrzańskich bagnach, wyprawy z Ramotowską w szczycie sezonu trzeba rezerwować pół roku wcześniej. Co roku z jej firmą wyrusza nad Biebrzę kilkanaście tysięcy osób, których dzieli na 'zabiebrzonych w stopniu lekkim' i 'biebrzniętych dokumentnie'. Uczy ich czytać przyrodę. Wyprawa z Ramotowską przypomina sceny z książek Karola Maya o Winnetou. Przewodniczka przystaje co kilka kroków, aby odkryć tropy dzika, lisa czy tchórza. Po ich kształcie potrafi określić nie tylko płeć, wielkość czy wiek zwierzęcia, ale nawet jego nastrój - czy szło spokojnie, czy było ścigane przez drapieżnika. Po resztkach upolowanych ptaków i drobnych gryzoni poznaje, kto i kiedy je zaatakował. To, co dla laika jest trójkątną dziurą w ziemi, dla niej jest śladem borsuka, który szukał larw. Obgryziona kora na drzewach to znak, że pożywił

się łoś. A wygnieciona trawa wskazuje, że spędziła tu noc sarna.

Ale najwięcej informacji można wyczytać z odchodów. Ramotowska grzebie w nich patykiem, przeprowadzając niemal detektywistyczne śledztwo - kiedy przechodziły, co jadły, jaka jest ich pozycja w stadzie. - Czytanie tropów bardziej mnie fascynuje od oglądania samych zwierząt, które paraliżuje widok człowieka. Natomiast z tropów można odczytać ich codzienne, naturalne życie. Satysfakcja jest niesamowita.

Oko w oko z wilczycą

Swoją działalność nazywa ruchomym biurem edukacji przyrodniczej. Swoim klientom cytuje słowa Edwarda Redlińskiego, prozaika, autora 'Konopielki': 'Witajcie - wy, których dni upływają pod sufitem. Witajcie u mnie, pod Niebem'. - Przyroda mobilizuje człowieka i prowokuje do odnalezienia wewnętrznej harmonii. Tu wszystko jest prawdziwe. Dopiero na tych podstawach można coś budować. Dlatego odmawia, kiedy klienci proszą o wyprawę quadami przez bagna. Nienaruszona przyroda to podstawa. Nie przepada także za kolekcjonerami, którzy przyjeżdżają na bagna tylko po to, aby zaliczyć rzadkie gatunki. - Zaliczanie jest płytkie, nie budzi szacunku do przyrody. Przyjeżdża ktoś taki taksówką prosto z lotniska, ma 200 gatunków ptaków na liście, zaliczył już 199 i wciąż nie jest zadowolony, bo mu jednego gatunku brakuje. Do szewskiej pasji może człowieka doprowadzić. Wszystko mu jedno, czy zabierzesz go na przepiękne krajobrazowo bagienne łąki, czy też na śmierdzące wysypisko, chodzi tylko o to, aby ten ptak tam był. A kiedy go w końcu zobaczy, wyjmuje listę i odhacza, po czym wsiada z powrotem w taksówkę.

Nie zawsze jednak wyprawa na bagna jest spokojną lekcją przyrody. Czasem przyroda pokazuje kły. Parę lat temu poszła na bagna z dwoma dziennikarzami z Niemiec. Mieli sfotografować z bliska łośie. Po paru godzinach przedzierania się przez bagna usłyszeli charakterystyczne stękanie. Wchodzą na grąd (wyspę wśród mokradeł), a tu zamiast łośia z zarośli wypada dziewięć wilków. - Zamarliśmy. Były może trzy metry od nas. To była wadera (dominująca wilczyca) z młodymi. Polowała na tego samego łośia co my. To było najdłuższe 45 sekund w moim życiu. Zdezorientowane wilki przez dłuższą chwilę wpatrywały się w ludzi, a potem powoli się wycofały. Kaśka spojrzała, co z dziennikarzami. Stali jak sparaliżowani. Nie zrobili nawet zdjęcia.

Ty nie nasza

Chociaż Ramotowska pochodzi z Podlasia i mieszka nad Biebrzą od lat, rdzenni mieszkańcy do dziś jej nie zaakceptowali. Mówią do niej: 'Ty nie nasza'. Jest podwójnie wyobcowana - jako przybysz z zewnątrz i jako samotna kobieta. Po studiach wyszła tu za męża, ale związek nie przetrwał długo. - Miałam być kurą domową, gotować obiady, ale nie pozwoliłam się wpisać w ten schemat. Nie wbijałam się w kieckę, nie malowałam szponów, nie chodziłam w sobotę do fryzjera, żeby sobie na niedzielę ułożyć włosy do kościółka. Teściowie powtarzali: 'Mąż zarabia, wszystko macie, po co ci ta firma?'. Zbuntowałam się. Kiedy wzięła rozwód, ludzie przepowiadali, że sobie nie poradzi i splajtuje. W tym środowisku prawie nie ma kobiet, które nie byłyby na utrzymaniu małżonka. Pomylili się - firma rozkwitła. - Chyba po części chciałam udowodnić, że to ja decyduję o swoim losie, a nie garnuszek faceta.

Drugi raz sparzyła się na lokalnej parafii. - Któregoś dnia proboszcz z ambony skrytykował 'biznesy otwarte w niedzielę'. Wszyscy wiedzieli, że w całym Goniądzu tylko moje biuro działa w niedzielę, bo wtedy są turyści. Miałam wrażenie, że cały kościół na mnie patrzy. A zaraz potem ksiądz wyszedł z tacą i zaczął zbierać pieniądze, między innymi od ludzi, którzy wynajmują kwatery moim turystom. Myślę: no nie, koniec tej hipokryzji, moja noga tu nie postanie! Wytykana palcami w Goniądzu, w kraju stała się wzorem do naśladowania. W 2007 roku otrzymała zaproszenie do udziału w kampanii 'Przedsiębiorcza kobieta' zorganizowanej przez Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej. Jej celem było zachęcenie kobiet do zakładania własnej działalności gospodarczej. Była bohaterką jednego z telewizyjnych reportaży towarzyszących akcji, jeździła ze szkoleniami. Lubiła to. - Na spotkaniach panował niebywały entuzjazm. Przychodziły do mnie kobiety, które chciały zmienić swoje życie. Odkrywały nowe możliwości.

Druga Rospuda

Kiedy w 2007 roku w mediach wybuchła sprawa Rospudy, a lokalni politycy i mieszkańcy zaczęli wmawiać ekologom, że ważniejsze dla nich są żabki niż ludzie, poważnie myślała o emigracji. Nie mogła znieść myśli, że to samo może stać się z jej Biebrzą. Zatrzymała ją reakcja jej dawnych klientów na apel w obronie Rospudy. - Zaczęły nadchodzić dziesiątki mejli: 'Pani Kasiu, my już dawno się włączyliśmy, podpisaliśmy petycję, nosimy zielone wstążki, jedziemy bronić Rospudy'. Poczułam, że to, co robiłam przez kilkanaście lat, przyniosło efekt. Pospolite ruszenie, które stanęło w obronie Rospudy, wychowało się tu, na Biebrzy. Opłaciło się inwestować w ich edukację. Wkrótce sama potrzebowała pomocy. Jej Rospudą stała się Carska Droga. To liczący blisko 50 km trakt w sercu Biebrzańskiego Parku Narodowego zbudowany przez Rosjan pod koniec XIX w. Kiedyś służył do zaopatrywania twierdzy w Osowcu, dzisiaj jest atrakcją turystyczną regionu. Na Carskiej, nie wychodząc z samochodu, można zobaczyć łosie, jelenie i inne zwierzęta. Wzdłuż drogi zbudowane są wieże i kładki widokowe do obserwacji ptaków.

Trakt był do tej pory lokalną drogą, wąską i dziurawą. Władze powiatu w Mońkach postanowiły go gruntownie zmodernizować. Projekt przewidywał poszerzenie drogi, wyrównanie zakrętów i wzniesień, podwyższenie nośności - wszystko za unijne pieniądze. Oficjalnie - aby ściągnąć więcej turystów. Pomysłodawcy nie kryli jednak, że przez zmodernizowaną drogę przechrzczoną na Via Turistica ruszy tranzyt z Warszawy w kierunku Augustowa i Litwy. Droga mogłaby obsługiwać tiry ważące nawet 40 ton. Ramotowska podniosła alarm: modernizacja drogi bez wprowadzenia barier ograniczających prędkość i tranzyt zniszczy jej unikatowy charakter i podkopie podstawy turystyki. Pod kołami pędzących samochodów będą ginąć zwierzęta. Chciała rozmawiać z władzami, szukać innego rozwiązania, ale nikt nie chciał jej słuchać.

- Człowiek odpowiedzialny za projekt zbył mnie: 'Pani Katarzyno, ja z panią mogę co najwyżej kawę wypić, a nie dyskutować o drodze'.

Nie zostało nic innego, jak projekt zablokować. Ekolodzy z pomocą prawników z WWF (World Wildlife Fund) wymogli na lokalnych władzach przygotowanie raportu oddziaływania na środowisko (droga przechodzi przez tereny Natura 2000). Autorzy raportu nie pozostawili suchej nitki na projekcie. Wniosek: modernizacja nie wchodzi w grę, jedynie remont nawierzchni. Przyroda wygrała, ale Ramotowska poniosła porażkę. Nie potrafiła przekonać mieszkańców, że broni ich interesu. Zamiast zjednoczyć ludzi, narobiła sobie wrogów. - Przestaje mi się chcieć. Carska pochłonęła miesiące pracy i nerwów. Ludzie wciąż nie rozumieją, że ich byt zależy od przyrody.

Kuchnia sprzed 5 tys. lat

Kiedy ma dość wszystkiego, pakuje narzędzia do samochodu i jedzie do kamieniołomów. To jej nowa pasja - poszukiwanie skamieniałości. To także przyroda, tyle że sprzed stu i więcej milionów lat. Jeżowce, gąbki, amonity, wszystkie odcisnięte w kredzie. - Tego uczucia nie da się opisać. Gnasz 300 km, przewalasz tony kamieni w spiekocie dnia czy w strugach deszczu. Jak już coś znajdziesz, to dłutko, młoteczek i wykuwasz. Wydobycie dużego amonitu może trwać nawet osiem godzin. Kiedy wraca do domu z trofeami, samochód szoruje podwoziem po jezdni. Już kilka razy musiała naprawiać zawieszenie. Potem w kółko ogląda skamieniałe twory, próbując wyobrazić sobie, jak wyglądało życie miliony lat temu.

Jej druga pasja to archeologia eksperymentalna. Sprawdza w praktyce, jak wyglądało życie ludzi pierwotnych. Jak gotowali, wyrabiali narzędzia, szyli ubrania, budowali schronienia. Zna także przepisy kulinarne sprzed tysięcy lat. - Jak ugotować zupę bez garnka? To proste. Kopiesz niewielki dołek, wykładasz go świeżo zdjętą skórą, na przykład jelenia, razem z tłuszczem i kawałkami mięsa. Wlewasz wodę i wrzucasz jeden po drugim rozgrzane kamienie z ogniska, aż się zagotuje. I zupa gotowa.

Kilka lat temu z grupą przyjaciół próbowała żyć tak jak ludzie sprzed 5 tys. lat. Spali w chatkach z trzciny, używali kamiennych siekier, jedli ryby złowione własnoręcznie wykonaną siecią i podłomyki z mąki mielonej na żarnach. Po sześciu dniach musieli przerwać eksperyment, bo zabrakło w okolicy opału. - Pierwotny człowiek przynosił osady w poszukiwaniu drewna, palił także łąnem mamutów. Myśmy nie mogli się ruszyć, no a mamuty, jak wiadomo, wyginęły.

Co jej - przedstawicielce epoki informacji - dają wyprawy w zamierzczłą przeszłość, do świata bez elektryczności, antybiotyków, komputerów? Czy to nie jest krok wstecz? - Nie chodzi o to, aby całkiem wycofać się z cywilizacji, ale żeby używać jej w sposób odpowiedzialny. Nie muszę zmieniać komórki co roku, nie muszę mieć nowego laptopa czy monitora. Wiele rzeczy poddaję recyklingowi. Chodzi o to, żeby postawić sobie gdzieś granicę. Wyzwolić się, przestać biec.

Źródło: Wysokie Obcasy